



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 gr. 20.

PO WIELU LATACH

(w liście do p. Wład. Dębskiego).

Tak wiele lat przebiegło, ach!
Tak wiele lat niedoli!
A gdzie mój świat i gdzie mój dach,
Gdzie bracia sercu kwoli?

Samotny wciąż, wśród obcych dusz
Przebywam ziem obszary,
Pan krótkich dni, straciłem już
Młodości wszystkie mary.—

I już mnie tam od wiejskich szyb
Niech nikt się nie spodziewa,
Nie dla mnie chłód ojczystych lip,
I dzban, co miód rozlewa....

Dla czystych dusz niebiański dzień,
Królestwo jasnej chwały;
Jam nie wart snadź, zapadły w cień,
Jam nie dość srebrno-biały....

To niech-że druh po śmierci mej,
Gdy wejdą jasne zorze,
Lirnice rad, schyli się k'niej—
Wieczorem, w starym dworze.

T. L.

ROK SZKOLNY.

(Dokończenie).

W każdym razie przy rozszerzonym materiale naukowym dziewcząt przy ograniczonym czasie nauki muszą się wciśkać niedobory pewne. Nauka wielu języków może psuć czystość swojego i dla tego godzina poświęcona dziennie czytaniu, pisanii, wzorującemu się na dziełach z wyższymi przymiotami szlachtetnego, czystego stylu—jest bardzo w czasie wakacyjnym pożądaną. Czytanie zwłaszcza można tak porządnie usystematyzować, aby prócz studyów językowych, było ono obznajmianiem się z literaturą.—było ową edukacją fatazy według Jamesa Sully. wraz z edukacją uczucia, które było podniętą w natchnieniu poetów. Kiedy właśnie społeczność nasza krząta się o postawienie wiekopomnego, ze spiżu, czy marmuru, pomnika wielkiemu poecie, niechże pomnik taki wzniesie się dlań w sercach młodych — niech zatem córki, przybывая do rodzinnego domu znajdą dzieła Mickiewicza w podarku od rodziców im dane, co dzisiaj przy tanich a bardzo porządnych wydaniach klasyków, nie jest rzeczą bynajmniej kosztowną, nawet dla rodzin średnio zamożnych. Zresztą uważać to należy jako jedną więcej książkę szkolną, niezbędną do edukacji młodego dziewczęcia potrzebną.

Niech to będzie tak uważany podarek rodzicielski dla córki, aby potem przybывая jej podobnie coroczną koleją dzieła innych poetów i prozaików celniejszych, które znać, nietylko z wypisów szkolnych, jest literackim obowiązkiem osoby, roszczącej sobie prawo do nazwy osoby wykształconej.

Od samego dziewczęcia już to zależy, aby rzecz

nie stała się „ozdobą umysłu“ szychowym kwiatkiem znajomości literatury, tak luźnie przypiętym, że można się w niego na chwilę popisu ładnie ustroić, a potem między posiadane „ozdoby“ różne składać. Nie forma wierszowana stanowi poezją; jest ona w myśli, w uczuciu, w ogniu świętego zapału, który w piersi poetów goreje, i to—myśl, uczucie, zapal należy sobie z utworów poetycznych przyswoić, w pierś własną przelać i mieć na swój skarb żywota. Gdyby nie takim było oddziaływanie poezyi, czyżby poeci wzbudzali taką cześć taką gorącą miłość ludów, a zwłaszcza tego narodu, z którego wspólnej krynicy uczuć i uniesień natchnienie czerpali? Poezja przecież jest wszechnarodową: kiedy się czyta wielkie, wspaniałe obrazy Szekspirowskich kreacji, kiedy się bierze sobie w serce „Rezygnacyą“ Szyllera, i woła się wraz z nim: — „I ja także byłem w Arkadyi zrodzony“... duch się tak uskrzydla, pierś tak się podnosi gorącym sercem biciem, że człowiek przetrworzony, podniesiony duchem, lepszym, wyższym się staje, i do lepszego, wyższego życia uzdolniony, pragnie, jeżeli już nie wielkich, heroicznym czynów, to czystego, uczciwego, użytecznego wśród ludzkości istnienia.

„Młodość to rzeźbiarka, co wykuwa żywot cały“... trzeba zatem, aby daław czasie tej twórczej pracy swojej wszystkie nagięcia potrzebne do ukształtowania się istoty takiej, jaka według pojęć naszych odpowiada najlepiej moralnemu kształtowi szlachtetnego człowieka. Wszystko, co człowiek tu ma mieć wiarą swoją, nadzieją, miłością swoją, musi być rzeźbione na duchu jego młodocianym, aby rysy rylca były głębokimi i stanowiły rozstrzygające o takim a nie innym jego upostaciowaniu. Gdy przychodzi już dojrzałość, przychodzi i stwardnienie takie kruścizki ludzkiego ducha, że rysy na powierzchni się zatrzymują. Popularne przysłowie o nasiąknięciu młodej skorupki jest owocem spostrzeżeń niemył-

nych: wpływy młoci oddziałają głęboko i tak silnie, że nieraz własny rozum dojrzałego już człowieka, własnych jego przekonani siła odbija się o to, co tam wewnątrz ducha przesiągnęło, co tam rylcem wychowania wyłobionem zostało. Jest tak na złe i dobre, należy więc wychowaniu zużytkować wszystkie szlachetnie skierowujące oddziaływania, wszystkie wpływy podnoszące i edukujące dodatnio czynniki ludzkiego ducha. Poezja powinna być użytą przez wychowawcę za jedną z dźwigni takich. Obok edukacji fantazyi staje się ona zarówno, gdy zwłaszcza weźmiemy poetów naszych i edukacją uczucia — najszlachetniejszego, najwznieślijszego w skierowaniach swoich. Czysta, jak lza, choć gorąca jak lawa nigdy ona nie skazi wyobraźni młodej obrazami namiętności niecnotliwych, nie złudzi jakaś nadpowietrzność zamków budowanych w eterach. Jak Anteusz jest ona o ziemi jedną stopą swą mocno oparta i ztąd sposobem Anteusza — taką nieprzepartą moc realną sobie ztamtąd czerpie, że od prostaczka do króla ducha ma dla wszystkich pokarm święty, który podtrzymuje, wzmacnia serca i zapalem gorącym je grzeje.

Ponieważ i wychowanie kształci też nie do samej abstrakcji idealnej, musi zatem działać tak, jak wedle poety (Wiktora Hugo), Bóg żąda od człowieka, aby Mu była przezeń stawianą świątynią: — „Dwóch potrzeba mi do tej posługi...“ dwóch, aby „jeden rzeźbił ideał, rzeczywistość drugi.“ Rzeczywistość jest ziemskim ideałem, nie destalem, oparciem, bez którego rozwałby się w aspiracjach luźnych i nieuchwytnych, od życia i jego celów oderwanych. Aby poezją w żywego życia czyn wcielić, trzeba z rzeczywistości tego życia grunt jej dać, podstawę działania uczynić. — „Bądźcie prości jako gołębie, a mądrzy jako węże...“ i ta, przez Ewangelię, nakazana mądrość węzowa, nie ujmuje nic poezji, a daje jej tylko ciało dla objawienia się w życiu przez jego fakta. Poezja to szczyt, i muszą być stopnie, po których się do niej dostaje: obowiązków swoich uczciwe wykonywanie otwiera te stopnie wiodące pod górę, gdzie duch ludzki spotyka się z Duchem Bożym poezji. Kto twierdzi, że ma duszę poetyczną, a jak samolub, jak pasyżyt kosztem innych żyje, kosztem innych się uszczęśliwia i dla nikogo się nie poświęci, z pożądan swych i przyjemności ofiary dla obowiązków swych nie uczyni, i chłodno własną tylko korzyść, własne wziętki oblicza — temu powiem, że kłamcą jest!

Poetyczność — to obok zdolności uwielbienia piękna, zdolność uwielbienia dobra, i przeniknięcie się niem, więc dobra wypełnianie. Innej poetyczności niema i być nie może, lecz tylko udawanie jej — fałsz, albo unoszenie się na zimno. Ukochanie idei dobra w ludziach i w ludzkości, ideał w czynach swoich, to — powtarzam, jedna i jedyna poetyczność uczucia dla niesofisty.

Są w moralnej sferze Ludzkości obowiązki względem nieba, są obowiązki względem ziemi. Łączą się one, zahaczając jedne o drugie jak ogniwa łańcucha, i ztąd każdy człowieka obowiązek, najbardziej realnej natury, jest na poły niebiańskim dla tego, że się z nim wiąże zawsze jakiś nakaz moralny. Ow drugi robotnik, który w świątyni stawianej Bogu przez człowieka, rzeźbi rzeczywistość, to jedna nasza połowa, pracująca w dziedzinie tych zajęć koło realnego bytu na ziemi, które są niemniej obowiązkami natury moralnej, bo mają swoje rodzinne i społeczne strony. Młodzież ucząca się, więc pracująca poniekąd w dziedzinie oderwanej, powinna też zstępować od czasu do czasu na ów grunt obowiązkowości realnej, aby nietylko wiedziała, że jej z czasem i rzeczywistość rzeźbić będzie potrzeba, ale, aby do tego rzeźbienia potrzebne uzdolnienie nabierała, zaprawiała się do niego. Że siły nieużywane zanikają, że soki żywotne, które je karmią, zwracają się w kierunku innym, wie każdy — trzeba więc pamiętać, aby młodzież w tym czasie, który „wykuwa żywot cały“ nie odwykała zupełnie od myśli o zajęciach, które mają być później realnymi jej życia obowiązkami: z jednej strony nie lekceważyła ich, z drugiej nie zatracala zdolności ich wykonywania.

Chodzi nam w tej chwili dla dziewcząt młodych o ten obowiązek kobiecy, który przez to, co jest z nim związane, staje się niemal cnotą moralną — o gospodarność. Ponieważ każda kobieta, od największej pani do najuboższej chłopki, ma być w przyszłości naczelniczką swego domowego ogniska „podskarbiną chleba“ w wydziale gospodarczym swego narodu, zatem obowiązek to, z bardzo nieznacznym wyjątkiem, ogólny dla kobiety wszelkich sfer towarzyskich i różnice mogą się wytwarzać jedynie tylko w zastosowaniach. Młoda panna wiedzieć o tem powinna, i więcej: powinna ze względu na przyszłość swego życia nie zatracać w sobie, z jednej strony zdolności dobrego wywiązywania się z obowiązków gospodyń, z drugiej zamiłowania do nich, co się zwykle dzieje, gdy długie odwyknięcie od zajęć gospodarskich czyni rzecz trudną, nawet dla fizycznych naszej. Przytem młode dziewczęta nieco wyższych zdolności naukowych i zamiłowań książki, idealne tą zwykłą idealnością szlachetnej młodości, która się z powszedniemi życia potrzebami mało chce liczyć, więc i gospodarstwo uważają za coś niskiego i poniżającego ludzi z podnioslejszym ducha polem. Zatem też nietylko matka, ale nawet ojciec, a może ojciec przeważnie powinien wykazać córce łączność wszystkich człowieka obowiązków — powinien wykazać, jak często w świątyni najdroższych dla człowieka pragnień i celów rzeźbienie rzeczywistości musi być ideału podporą. A cóż byt rodziny i jej przyszłość, zwłaszcza członków starszych, dla których lata sędziwe już są niedaleko? Coż możność kształcenia się, możność nauki młodego pokolenia, tak ściśle złączona z zasobnością środków materialnych? Coż utrzymanie się na kawałku ziemi, która z dziada pradziada w posiadaniu rodu została? Czy pamiętają czytelnicy co poeta amerykański napisał o wywłaszczeniu się z ziemi przez odprzedanie jej? Sprzedać, to miejsca swego komuś ustąpić — ustąpić go nietylko w tem, co się tu potem będzie siać, jak się tu potem będzie orać i swoją własnością nazywać te ogrody, pola, lasy — drogie nam jak pierś matczyne — ale i w historii, która się tu po nas dzieć będzie.

Spytajmy, naprzykład, Wielkopolan, czy to w zakresie najwyższych moralnych obowiązków, najwyższych moralnych ideałów znaczy coś gospodarność, oszczędność, umiejętny zarząd mieniem swoim i nierozsypywanie, nie rozrzucanie ziarenek, które miarkę wytworzą, gdy jedno do drugiego dodawaniem będzie? Gdy miarka znajduje się pustą, ludzie, jak nędzarza, muszą się z domów swoich rozchodzić — muszą z miejsca ustępować.

Niech rodzice z tego punktu widzenia gospodarności domowej ważność młodej swej córce pokażą, a zrozumie odrazu, że to jest cnota i obowiązek — niemały! nie podły! Młodości, która jest niedoświadczoną, trzeba tak życie objaśniać, i z tem, co jest na dole, cele górne wiązać. Młodość, czem przez ducha piękniejsza, tem więcej tego potrzebuje: jej szlachetnym przywilejem jest pragnienia lotu doświadczać i skrzydła rozwijać. Skrzydeł tych nie obarczy rzeczywistość, byle się w młodej, świeżej duszy nie zabijało drugiego w świątyni Bożej pracownika — rzeźbiarza ideału!

W czasie wakacyjnym córka powinna zajęcia koło domu i dobrobytu rodziny z matką dzielić, i nawet matkę z nich wyręczać, i co dzień pracy w tym kierunku coś jej ulżyć, na siebie ją biorąc. Niech matka pieszczotliwie jej nie mówi, że spracowała się nad nauką, więc teraz odpoczywać powinna. Znużenie młodości przedkrochodzi, a zmiana zajęcia jest już odpoczynkiem w kierunku tym, w którym był on dla organizmu potrzebnym. Niech to zastąpi ćwiczenia gimnastyczne, tak dziś w wychowaniu uważane za konieczność i zapewne potrzebne wtedy, gdy nauka wymaga wielogodzinnego siedzenia nad książką. Ale ruch naturalny, naturalne siły rozwijanie w zajęciach, oopowiadających przyszłym obowiązkom życia, dokona tego niezawodnie lepiej, w oddziaływaniu swem harmonijniej na cały organizm wpływając.

Podnosi się wiele głosów poważnych z uwagą, że przedłużony czas nauki kobiecej trzyma obe-

enie młode dziewczę zadługo w oddaleniu od ogniska domowego, i w tych latach właśnie, które dają dorastającej stanowce nagięcie pod względem gustów jej i skłonności. Wakacje, rozumnie zużytkowane, mogą temu zaradzić: niech tylko przez dwa miesiące ich trwania młoda panna przypomni sobie wszystko to, czego zapominać nie powinna: niech pracowite zajęcia z matką dzieli, niech ją w nich wyręcza tak przez miłość i szanowanie córki, jak przez pojęcie rozumne, że to są jej rodzinne obowiązki w przyszłości.

Są przytem w wychowaniu względy praktyczne, których rodzicom pomijać nie wolno: względu na stan ich dzieci, na przyszłe warunki ich życia. Ludzie nie bogaci, są w wysokim stopniu grzesznymi, jeżeli wychowują młode pokolenie w ten sposób pieszczotliwy, który potem nie pozwala im znieść życia bez wygód, przystępnych tylko dla zamożnych. Dziecko, od urodzenia popańsku obsługiwane, popańsku nie stykające się z surowszą stroną życia, nie hartujące sobie sił przez nawyknięcie do zajęć miernego bytu, jaki musi być ich losem w przyszłości, nie potrafi być potem człowiekiem, który w bycie takim obowiązkowo pracować potrzebuje. Córka, podobnie wychowana, będzie z czasem złą żoną dla niebogatego męża, bo wymagającą takich wygód i zadowolnień gustu, które są w jego położeniu ruiną, i nietylko majątkową. Jeżeli nie będzie to kobieta szczególnie szlachetna przez serce, jeżeli (jak większość wypieszczonych dzieci) będzie mieć w sobie więcej egoizmu, niżeli uczucia i miłości męża — jego i swoje życie zatruje, unieszczęśliwi i obarczy sobie duszę grzechem złe wypełnianego obowiązku.

Wiele rodziców mało zamożnych, pragnąc dla córek swoich nauki wyższej, w której widzą dźwignię dla ich przyszłości, gdyby los kazał im następnie pracować na siebie — oddają je do takich zakładów naukowych, gdzie dziewczęta młode przyzwyczajają się mimowoli do skali życia wyższej, a przebywając w ciągłym zetknięciu z zamożniejszymi od siebie towarzyszkami, zapomina, że sama jest ubogą, i nabiera ich gustów, ich zapatrywań się na życie. Gdy przecież młoda panna w takim, lub w zbliżonym od tego położeniu, pod dach rodzicielski wróci, niechże tam do żadnej wyjątkowości praw sobie nie rości i żadnej wyjątkowości nie stanowi. Niech romantycznie kwiatków po łąkach nie zrywa, lub o wyższych przeznaczeniach kobiety nie dumaj, ale w najprostszą suknię swoją niech się ubierze i niech obok matki stanie do pracy powszedniego trudu. Poświęcenie, które rodzice dla niej uczynili przez miłość, niech odplaconem zostanie wdzięcznością: a wszystko ułoży się szczęśliwie. Wyższa nauka ubogiej dziewczęce nie zaszkodzi w świętych życia jej obowiązkach, nie zepsuje serca rolą jakoby kukulczego pisklęcia w ubogim gniazdku szarych wróbli.

Wakacje są dla umysłów młodych potrzebnym po naukowym trudzie wypoczynkiem, ale nie mogą, nie powinny być przerwą w wychowaniu; przeciwnie, są względnie do tego wychowania czasem wysokiej ważności. Szkoła oddaje, zwraca rodzicom ich dzieci, a rodzice, przyjmując je na łono swoje, mają obowiązek czujnego wejścia w głąb serc i umysłów młodych — sprawdzenia, zali tam, daleko od swoich, dziecko ich nie poniosło jakiej szkody na duszy?

M. Ilnicka.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Tylko gdy gdzieindziej wychwalano króla i wynoszono panów hetmanów, a wiele sobie obiecy-

wano po tej wyprawie, która poruszyła wszystkie ziemie,—pod namiotem i w gospodzie Radziejowskiego odzywały się głosy przeciwne. Tu, za podszeptem Radziejowskiego i jego przybocznych, ciągle się kwaśno i groźno wyrażano o wszystkim, cokolwiek po obozie głoszone, otrąbiano i co w wojsku postanawiano.

Surowsza, niż kiedy, karność, na którą król nastawał, szczególnie mu była za złe brana.

Radziejowski tych mów słuchał, ostrożnie podlewał oliwy do ognia, ale głośno się nie odzywał, lękając się, ażeby słów jego nie doniesiono zbyt wczesnie królowi. Miał się kim wyręczyć.

W rajtaryi swej między rotmistrzami liczył dwu, doskonałych gardłaczy: Kazimirskiego i Proszkę, z innych zaś pułków, co było takich rektorów wojskowych i warcholów znanych, tu się gromadziło.

O Kazimirskich powiedzieć było można: rodem kury czubate, bo oni wszyscy, ilu ich znano, na zjazdach, sejmach i sejmikach stawali zawsze przeciw majestatowi, a za złotą wolnością. Pan Jan, który rotmistrzował u podkanclerzego, miał tę łatwą swadę odziedziczoną po ojcu i dziadku, która za serca chwytła wielkimi i jaskrawymi wyrazami, głos donośny, gestykulacją żywą—i był znanym ze swej nienawiści wszystkiego, co się ponad równość szlachecką podnieść chciało.

Od tych wysiłków retorycznych przy winie, które pić musiał, aby w gardle nie zasychało, twarz miał zawsze czerwoną, niekiedy prawie siną, zresztą przystojną i olbrzymim wąsem, aż za ucho sięgającym, przyozdobioną. Temperament i nawyknięcie Kazimirskiego czyniły go zawsze i wszędzie opponentem. Poczynał nigdy inaczej, jak od zaprzeczenia—Nie!

Umysł jego szukał zaraz w każdej rzeczy czegoś podejrzanego; jeżeli namacać nie mógł, to ostrzegał, że coś tkwi i później się okaże. Zresztą nie odznaczał się Kazimirski niczem, oprócz zuchwalstwa.

Proszka, drugi rotmistrz od rajtarów, mówca nie był, ale nie lepszym przez to. Szeptał cicho, trącał łokciem, podzegał na ucho, a napozór milczący i zaszępiiony grał rolę bierną. Niekiedy tylko, gdy go, co mocno ubodło, wybuchał w sposób gwałtowny i grubijański. Chudy, słuszny. Proszka, nieustannie się poruszał, coś około siebie poprawiał, rękami chwycił, co napadł, i zdradzał tem niepokój wewnętrzny.

Była to podpałka doskonała.

Przy tych dwu stałych gościach podkanclerzego skupiały się szumowiny z całego komputu i z nowo-zaciężnych regimentów, z wyjątkiem tylko piechoty cudzoziemskiej, którą, że dosyć postponowano, więc się osobno trzymała na uboczu.

Odznaczeni się w codziennem kółku podkanclerzego: jeszcze Snarski, rotmistrz Zamoyskiego. Bąkowski z oddziału chorążego Koniecpolskiego i Morawiec z pułków Lubomirskich. O innych, których liczbę każdy dzień zwiększał, trudno się rozpisywać. Mało co się od siebie różnili.

Snarski był w polu i bitwie zajadłym na oko i słynął z rozpaczliwego meztwa, szalonego, ale, rzecz szczególna, krzyczał czasu bitwy najgłośniej, drugich pędzał, sam zawsze obronną ręką wychodził. Dopiero po wojnie, pod namiotem, na pobojowisku, gdy wszystko było skończone, on relacje układał najlepiej, a choć często tego, co rozpowiadał nikt poświadczyć nie mógł, jego powieść szła w świat.

Niechżeby mu kto, uchowaj Boże, śmiał zaprzeczyć! Snarski naówczas, oburzony, zrywał się i kląć a przysięgać poczynał:

— Bodajem się z miejsca nie ruszył, bodaj mnie ziemia pożarła, niech piorun pierwszy nie minie!

Tych przysięg miał zapas wielki i niemi przypieczętowany opowiadanie, w końcu zamykał wszystkim usta. Według Snarskiego wojsko zawsze i wszędzie było pokrzywdzone, a wszelkie jego wybryki niewinniać należało.

— My krew naszą, żywot i gardła dajemy — krzyczał, a nam chleba krając domierzają tak, abyśmy tylko z głodu nie marli. *Panis bene merentium!* a któż to go je? he! matadory, panowie! na nas biedaków nie spadnie ani prószyna. Pa-

trzeć musimy na ucztujących bogaczów i oblizywać się jak Łazarze.

Snarski, po całym obozie mając znajomych, tego ducha oporu i kwasu roznosił.

Nie było praktyki, aby mu się co podobało; we wszystkim widział, równie jak Proszka, chytrą, przewrotną i nizekemu.

Bąkowski był przede wszystkim wesołym towarzyszem i do dzbana jedynym. Gdy się śmiał, rozlegało się daleko, że go po tym śmiechu poznawano. Był to przyboczny wszystkich warcholów, do roznoszenia, co się gdzie narodziło, jedyny. Otyły, barczysty, silny, dzień i noc gotów był ucztować, pić, pół godziny się przespiał siedząc i *de noviter repertis* rozpoczynał.

Do tego pić było można zawsze „w nieochybne ręce”—nie odmówił nigdy.

Naostatek Morawiec, który już w wielu pułkach służywał i z jednych do drugich przechodził a miał się bardzo dostatnio i ze wszystkich ich najzamożniejszy był, człowiek w sobie zamknięty, ostrożny, na spiskowca się rodził. Miano go za chciwego i skąpca, nigdy bowiem nikomu kubka wina nie dał u siebie. Dłaczego czepiał się niespokojnych ludzi i z nimi trzymał, na oko to nie było jasne. Ale gdzie krzyczano i burzono się, znalazł się zawsze i—potakiwał.

Radziejowski szczególnie na Kazimirskiego swojego i na Snarskiego liczył. Ci dwaj byli u niego codziennymi gośćmi. Kazimirski nawet gdy podkanclerzy czasu nie miał, za niego gospodarzył i przyjmował, rozporządzał służbą i rządził się jak w domu.

Nie było dnia, ażeby z tych przewodzców który gościa nowego nie wprowadził, wprzód go za puls potrzymawszy, że on tak samo bije, jak ich wszystkich. Ci nowi prozelici mimowoli pociągali innych,—i u podkanclerzego nigdy wieczorem pusto nie było. On sam się tu zjawiał zawsze i przesiadywał czasem długo, a nie ukrywał się z tem, co myślał. Wyśmiewał króla głównie i wróżył mu najgorzej.

— Gdyby choć słuchać chciał — mówił — ale nie! Bab, królowej gotów posłuchać, a szczerych doradców nigdy.

Od Lublina już i Krasnegostawu coraz to podzeganie przeciwko Janowi Kazimierzowi się wzmagalo, a po odkryciu listów i wyjeździe podkanclerzyny doszło do otwartego naigrwania się.

Cokolwiek król na radzie z hetmanami postanowił, było najgłupsze i najgorsze. Obwieszenie owego szpiega w początku nazywano niepotrzebnem okrucieństwem; a tuż gdy nieustannie od ziemian skargi na różne wybryki wojskowych zaczęły nadchodzić i okazało się, że dwu rotmistrzów Pawłowskich dwór pod Switazowem napadł i złupili, dopuszczając się tam gwałtów, król rozkazał ich przed sąd wojskowy stawić i najsurowiej wyrokować.

Nie było wątpliwości, że na gardła skazani zostaną.

Właśnie sąd się miał zebrać i wyrzec, a że Pawłowscy przyjaciół mieli, więc sarkano i niepokojono się. Dnia tego pod namiotem podkanclerzego Pawłowskich też sprawa była na stole.

Wśród najgorętszych rozpraw wszedł podkanclerzy, którego Kazimirski od progu za-gadnął:

— A cóż, te biedaki Pawłowscy?

Radziejowski ręką machnął.

— Co? mówcie zawczasu *requiem aeternam* — zawołał i pokazał na gardło... — Nie mogą ich według artykułów hetmańskich inaczej sądzić, jak na gardło.

— Ale król może ulaskawić—krzyknął Snarski—przecie pisarza swojej piechoty węgierskiej, który szlachcica związanego do obozu przywlokł, na śmierć osądzonego, podkanclerzy litewski wyprosił, zapłaciwszy za niego czterysta złotych. Śmiać się zaczął Radziejowski.

— A ja gdybym dał ośmset za każdego z Pawłowskich, tylko-bym się na śmiech i urąganie naraził, król z każdym dniem okrutniejszym się staje, głowę traci. Zdaje mu się, że im surowszym będzie, tem się większym wodzem okazał! Snarski począł krzyzczeć zza stoła.

— Zabójstwa żadnego nie było! Jako żywo,

parobków pokrwawili, a dziewczętom, co się tak wielkiego stało? Przecie od tego nie poumieraly. Dwór, powiadają, szlachecki, czasu wojny gdzie tam kwerendy poczynać, gdy człowiek głodny! Co na płacu, nieprzyjaciel. Pawłowski zaklina się, że jejmość kazała do nich czeladzi z hakownic dawać ognia? Rozsierdzili się, a gdy raz drzwi wyłamali i wpadli, oczywista rzecz, że nieszczędzili nikogo! Czasu wojny, choćby we własnym kraju, nie nowina, że żołnierz sobie pozwoli.

— A to właśnie pora — zawołał podnosząc ręce Kazimirski — to pora się tak okrutnie z mężnymi ludźmi, z rotmistrzami obchodzić, gdy nieprzyjaciel pod nosem! Coby sobie miał serca łagodnością pozyskiwać, to od siebie wszystkich odstraszy.

— Słowow słowo — odezwał się podkanclerzy cicho, rzuciwszy okiem po zgromadzeniu—mówił mu to Leszczyński, mówiłem ja: a próbowali drudzy, że królowi łaską przystało serca i umysły jednać, a nie grozą je zniechęcać, ale na to on głuchy. Nietylko, że Pawłowscy padną ofiarą, ale bodaj ich publicznie i ostentacyjnie ścinać kaze, aby się na to patrzyli wszyscy.

Snarski aż krzyknął:

— To mi wódz! Ja znałem dobrze Pawłowskich. Prawda, że gdy sobie podchmielili nie było na nich hamulca, ale za to obaj w bitwie, w polu, jak się bili, trzeba było patrzeć. Starszy cały porąbany.

— Nastają na to — zawołał Kazimirski—że porabowali sepety, poodbijali skrzynie, klejnoty tam jakies jejmościne, łańcuchy i gotowizny parę set złotych zabrali: a cóż to jest? Głupstwo! I za to im życie brać?

— Nie — krzyknął Bąkowski — nie chce się wierzyć temu, aby król ich nie ulaskawił. Chmiel na karku nam siedzi, Olykę oblega, tylko co go nie widać: a to piękna zachęta dla żołnierza—szubienica i katy!

— Nigdyby w świecie do tej ostateczności nie przyszło — szeptał siadając poufale za stół Radziejowski — gdyby nie król! To wiem z najlepszego źródła, że i stary Potocki i Kalinowski prosili za nimi — postawić ich na pierwszy ogień, gdy przyjdzie do starcia.. niech Pan Big sądzi.. Ale król nastął na to, że konieczni przykładu trzeba, i że nie dosyć obu ścinać, ale w pośrodku obozu, przy zwołaniu świadków i otrąbieniu dekretu.

— Do jutra — odezwał się cicho Morawiec—jeszcze się może król namysli.

— Kto? król! — rozśmiał się Radziejowski — a to go dobrze znasz! właśnie dla tego, iż proszą za nimi, uprze się i na swem postawi, chcąc ukazać, że się nikomu powodować nie daje. Zwykła słabych natura: im więcej nalegają, tem oni twardej przy swem stoją. Ho! ho!

— Ci co go tam dawniej widywali i obcowali z nim, gdy jeszcze królewiczem był—począł Proszka — powiadali zawsze o niestateczności, ale teraz zmienił się bardzo.

— Poczekajcie do końca — wtrącił Radziejowski—zmieni się on jeszcze niejedyn raz. Kameleon ten—sam nie wie nigdy, czego chce.

Na radzie wojennej raz napiera iś naprzeciw Kozactwa, to znowu stać, obrawszy dobrą pozycję i czekać. Otrąbiają, aby się mieć w gotowości: my się na wozy ładujemy, troki wiążem; tymczasem i tydzień upływa... a my w miejscu stoimy.

— To prawda—rzekł Morawiec — ale trzeba i to przypomnieć, że Kozacy, których dzień w dzień przyprowadzają, coraz inaczej śpiwają.

— Albo to im wierzyć—przerwał Radziejowski.—Świeży przykład na tym Bohdaszce, co go tu tak przyjmowali, jako zbawcę w obozie, a chępli się, iż pułki przyprowadzi już zmówione od Chmiela. Król mu kazał na to pieniądze wyliczyć, a teraz przechera się chlubi, że durnych lachów oszukał.

— Już to prawda święta, że im żadnemu wiary dawać nie można—wołał Kazimirski.

— A Zabuski? — podchwycił Snarski.

— Do czasu! — odparł Kazimirski — dopóki nie może zdradzić, będzie służył a jak mu swoi zapachną, pójdzie do nich, choć nam przysięgał.

Radziejowski nie dał się rozmowie obłąkać i przejść na Kozaków, powrócił do króla.

— Nie mam ja nic przeciwko nabożeństwu — rzekł — boć bez Boga nic się nie wie dzie — ale u nas już i księży i modlitwy więcej, niż mustry i ćwiczenia. Zolnierz nie mnich, a Pan Bóg od niego nie wymaga różańca, ale tatarskiego tańca.

Morawiec to głową potwierdził; śmiać się poczęto.

— Zrzucił mniszy habit — mówił Radziejowski — ożenił się ale zawsze w nim klechę czuć, i takim będzie do końca.

Cały tu wieczór upłynął na ubolewaniu nad losem Pawłowskich, jakby ofiar niewinnych, i wszyscy, co ztąd wyszli, wynieśli z sobą do obozu narzekanie a naganę, nietyle sądu, który musiał wedle artykułów skazywać, jak króla, który prawa łaski zażyć nie chciał.

Cieszył się podkanclerzy, zwłaszcza, gdy jego przepowiednia się ziściła: wistocie Pawłowscy obaj z wielką ostentacją, wpośród obozu, przy otrąbieniu wyroku, straceni zostali.

Poszedł popłoch po wojsku, ale i niechęć do króla wielka. Nie było czasu rozprawiać, gdyż zaraz nazajutrz przybył Koniecpolski, chorąży koronny, który, pułki swoje pod Beresteczkiem zostawiwszy, z niewielkim poczem, nadbiegł, oznajmując, iż Kozacy i Tatarowie nadciągają, a i Zabuski też niewolnika z ordy wziętego przyprowadził. Tym razem więc otrąbiono, aby wozy pozostawiając, wszyscy się nazajutrz rano ruszyli.

Tu tedy znowu o wozy te powstały lamenta, tak się z niemi niektórym ciężko rozstawać było. Nie słuchano już i do dna pułki wyciągnęły, a król wybrał się przodem, z czego podkanclerzy przedrwiwał, że to dla popisu nie z ochoty czynił.

O półtorej mili przyszło most przebywać, który jeden tylko był. Tu się tedy ścisł stał, tumult, nieład okrutny, a Jan Kazimierz, gdy mu dano znać, sam się zwrócił do mostu i póty stał, osobą swą porządek utrzymując, dopóki wojsko nie przeszło.

Radziejowski też z innymi się przy nim znalazł i parę razy próbował przemawiać, odradzając napróżno fatygę, ale król tylko ramionami ruszył i ani mu odpowiedział.

Ponieważ się to działo publicznie, a lekceważenie było bardzo jawne, podkanclerzy rozsierzdził się jeszcze więcej, odjechał na bok i z króla się wysmiewać począł, że prostym stróżem hetmanowi być nie przystało.

Z powodu mostu tego, nie uszedłszy więcej nad mil parę, wojsko na spoczynek stanęło, gdzie pomysłna wiadomość przyszła, że Ołykę obroniono od Kozaków. Król się temu bardzo uradował.

— N. Panie — wtrącił zaraz podkanclerzy — Tatarowie i Kozactwo do brania twierdz nie nadają się, to nie ich rzecz... w polu oni nawał, swą są straszni...

Nie omieszkał tedy przybytemu księciu Dominikowi Zasławskiemu, który tu z kilku pułkami nadszedł, stawić się podkanclerzy. Trochę rachował na niego w przyszłości. Książę go też przyjął, choć dumno i chłodno, ale uprzejmie.

Następnego dnia dociągnęło wojsko do Łobaczówki, w niewielkiej już odległości od Beresteczka, gdzie od Koniecpolskiego przysłany Kozak, zbiegły od Chmiela, przyniósł wiadomość, iż się han tatarski połączył z Kozakami.

Dalej więc ponad Styrem ciągle szli ku Beresteczku, a Koniecpolski tymczasem, wybiegłszy przeciw Kozakom, szczęśliwie się starł z niemi. Napadł właśnie tych, których od Ołyki odpędzono, i — jak powiadano, z tysiąc ich na placu położony, czterysta wozów zapasów i żywności przyprowadził z dobytku. Cieszone się z tego w wojsku, lecz razem było czem trapić, bo wozy zabrane, łup zawierały ze spustoszonego okrutnie Polesia Wołyńskiego, gdzie wsi i miasteczek ze dwadzieścia w kupę popiołów obrócono.

Starano się ukryć inną, gorszą daleko, wiadomość w obozie, którą królowi, wołając o ratunek, przyniesiono.

Zdrajca jakiś Chmiela naśladując, a pewnie i z naprawy jego, na Podgórzu bunt wszczynał. Ogień więc zażegnany na kresach w Ukrainie,

na drugi kraniec Rzeczypospolitej się przerzucił, a mógł ją, jak wyszłe pole, objąć całą.

W gnieniu oka zwołano radę wojenną, strzegąc, aby popłochu nie wzniecić; a rada i głos musiał być jeden i zgodny: póki pożar mały, gasić go i dusić, zalać choćby krwią, aby potem rozbujającego nie trzeba było rzekami zatapiać.

Na jedno tylko oglądać się było trzeba: aby, odrywając wojsku część sił, w tej stanowczej godzinie, gdy już do boju przyjsć miało — ducha w niem nie osłabić. Pomiędzy szlachtą i tak, dzięki podszeptom i zażeganiom, zuchwał się głosy słyszeć dawały, które Radziejowski podrzucał.

Pierwszy raz ujrano na twarzy króla wyraz znużenia i wahania się; lecz trwało to bardzo krótko — wróciła rezolucja i mężstwo. Miał nadzieję w Bogu, że podola wszystkiemu, byleby mu naród wiernie stał u boku.

Długo się wahano z wyborem tych, co na Podgórze wysłani być mieli, aż miecznik koronny Zebrzydowski i dwaj Lubomirscy, Alexander i Krzysztof, oświadczyli się z gotowością i nadzieją, że na tych opryszków wielkich sił nie będzie potrzeba. Wyprawiano więc ich, a chorąży Koniecpolski chciał jeszcze do Brodów zbiedz po działą, ale coraz gęściej przybiegano z wieściami o Tatarach, tak, że ledwie myśleć było można uwinąć się z tem, nim nadejdą.

Starano się wysyłkę Zebrzydowskiego i Lubomirskich na Podgórze tak pokryć, aby wojsko o niej nie wiedziało i o tym nowym buncie, który groził z drugiej strony, lecz w obozie, gdzie się ludzie jeden o drugim nieustannie ocierają, la-da słówko się rozrasta i ani go powstrzymać.

Radziejowskiemu, choć na radzie wojennej nie znajdował się, rzecz była nie tajna, a co tylko królowi troski przysporzyć mogło, temu się on radował.

Miał jednak to pomiarkowanie, że bębnić o Podgórze nie chciał i na chwilę potrzebną sobie zachował tę wiadomość. Tymczasem wieczorem Kazimirski wpadł do zwykłego towarzystwa z wielce nastrojoną czupryną i czerwienią jeszcze, niż zwykle twarzą.

— Hej! hej! — zawołał od progu — coś się święci! Między królem a panami hetmanami nie ma zgody. Oniby radzi tu stać i czekać, gdzieś na nieprzysięciela, a król, zasłyszawszy o Chmielu pod Dubnem i Ołyką, chce iść, skończyć i zgnieść go. Oczywiście rzecz, że Potocki ustąpi, choć doświadczeńszy, bo król uparty; a no, coś zaszło, czego zbadać trudno, bo miecznik koronny i dwaj młodzi Lubomirscy pono jutro gdzieś w bok odciągają. Gdzie? po co? — tajemnica.

Nam tu do kupy się trzeba gromadzić — dodał Kazimirski — a w samą porę jedne z najlepszych pułków odchodzą!

Podkanclerzy, który za stołem siedział, dał znak, że on coś wie, ale palce położył na ustach.

— Gadają o chłopskim buncie na Podgórzu — zamruczał — a mnie się widzi, że to bajka puszczo-na przez Kozaków, aby nam siły rozerwać.

Zamyślił się Kazimirski, inni milczeli.

— Bunt na Podgórzu! — powtórzył — i to taki, żeby na niego pułki całe wysyłać było po trzeba!

— Nieład we wszystkim — podchwycił Snarski — łatwo wierność, głowy nie ma nikt. Tymczasem co? Szlachta już burczy, dopominając się, że darmo czas traci, a król ją trzyma aż się do ostatka zje.

Chcą związek uczynić i z królem się rozmówić.

— Gdzież to słyszał? — spytał podkanclerzy.

— Gdzie? dosyć do pierwszego lepszego namiotu zajść, a ucha nastawić — mówił Snarski. — Grawamina spisują. Najbardziej im to solą w oku, że król niemieckie pułki i Niemców ma w szczególnej obserwacji. Jak na harc, na podjazd gdzie życie strawić trzeba, to nas wysyłają, a do strawy i jurgieltu i do łaski Niemcy pierwsze.

— Oho! — począł Radziejowski — nie nowina to, że nam Niemcy śmierdzą, wzięło się za Zyg-munta jeszcze, gdy ich naprowadzono. Władysław też głaskał, a kochał się w nich, Jan Kazimierz także proferuje ich pludry. Nie zbę-

dziemy się ich. Huwaldy będą zawsze w łaskach. Z nimi król czuje się jak ryba w wodzie, a z nami, niedogodnie mu.

— Szlachta — ciągnął dalej Snarski — tych różnych grawaminów przeciwko królowi ma dosyć, a umysły już są tak podbudzone, że wybuchną. Ja się tylko boję, ażeby właśnie pod ten czas, gdy kozactwo będziemy mieli na karku, nie wystąpili do króla z ultimatum i nie zażądali, czego on im dać nie może.

— He? — mruknał milcząco Morawiec — cóż myślicie? Ci, co szlachtę prowadzą, tak się obra-chują, że właśnie do króla skoczą, gdy on będzie w opalach, bo łacniej co wytargują! Oho! mają oni nosy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DOBRA KRÓLOWA.

(Nie—powieść)

Pismo, zamieszczające tak skwapliwie odgłosy działalności kobiecej, znajdzie kącik dla wizerunku niewiasty, która gdzieś za dalekimi morzami, w krajach słońca, zasłużyła sobie na miano *dobrej królowej*. Właściwością to naszej starej i młodszej Europy, iż zapatrzeni w wypadki i ludzi bliżej nas obchodzące zbyt mało wiemy i staramy się wiedzieć o tem, co dzieje się w innych świata częściach. A ciekawsze tam nieraz znaleźć można karty, ręką Bożą czy ludzką pisane, aniżeli te, których dostarcza nasza część świata. Świeża cywilizacja, niewyczerpany zasób młodzieńczej żywotności, otaczające cuda i bogactwa przyrody, wszystko to nadaje tym dalekim miejscowościom i sprawom tytuł niezaprzezony do tego, aby o nich wiedział świat cywilizowany. Niedawno z powodu zgonu wspomnianej powyżej *dobrej królowej*, długoletni na jej wyspach rezydent francuzki zapoznał szersze koło czytelników z ustrojem, położeniem i historią wysp Hawaj czyli Sandwich, jak je był ochrzcił w 1778 r., kapitan Cook. Oto jego powieść.

Pod koniec przyszłego wieku, wśród przywódców przeróżnych pokoleń barbarzyńskich na tym czarownym archipelagu Oceanu Spokojnego zamieszkałych odznaczał się młody wódz z wyspy Hawaj rzadkimi przymiotami i ambicyą. Jak Ludwik XIV, który ostatecznie jedność Francji zacieśnił i ustalił tak i Kamechamecha I-szy czyli *samobnik*, bo tak go zwano powszechnie, z powodu usposobienia do rozmyślań i wstępu do zabaw i tłumnych zebrań — marzył tylko o tem, aby cały wysep Hawaj pod własnem zjedno-czyć berłem. Siła charakteru i stanowczość umysłu pomogły mu rychto do rozszerzenia zakresu wpływów i podbojów. Wskławił się zarówno mężem w walce, jak mądrością w pokoju. A że krwawo nieraz przyszło okupywać zwycięstwo, dowodem pamiętna dla owych wyspiarzy bitwa nad brzegami rzeczki Jao, której wody powstrzymane przez zawały z ciał ludzkich, zmieniły swój kierunek, aby innego poszukać sobie łożyska. Powodzenie wienńczyło wszystkie zamiary dzielnego wodza. Z przyrodzoną bystrością przezuwał jednak, jak dalece pomoc cywilizacyjna białych ludzi ułatwiłaby mu zdobywcze i postępowe jego działanie. Młodzieńcem jeszcze będąc, pamiętał przyjazd i tragiczną śmierć Cook'a. Później, kilkukrotnie pewien amerykański handlarz przybijał do wybrzeży Hawaj, aby za żelazo i miedź, za narzędzia rolnicze i rzemieślnicze, wymieniać i nabywać bogate zasoby sandałowego drzewa i innych osobliwości. Kamechamecha marzył jeszcze o otrzymaniu z rąk białego gościa przytwierdzonej do jego statku większej łodzi, któraby służyła za wzór dla cieśli miejscowych. Amerykanin obiecywał odstąpić tak pożądaną przedmiot, ale z dotrzymaniem przyrzeczenia się nie kwapił, bądź chcąc się jeszcze potargować, bądź nie myśląc wcale o wykonaniu obietnicy. Niecierpliw wódz dzikich kanaków, postanowił przemocą zabrać to, czego

cierpliwością doczekać się nie mógł. Napadł tedy nocą na stojący na kotwicy okręt, ale celna broń amerykańska odparła zabójczym ogniem niespodzianą nocną napaść, a rozwinięty żagle statek z niegościnniej odplynał zatoki. Wszelako w pośpiechu nagłego odjazdu dwóch z załogi pozostało na wyspie; rozwściekieni utratą swoich Kanacy chcieli pomścić doznana krzywdę na tych dwóch ofiarach. Ale roztropny Kamechamecha odrazu zmierzył korzyści, jakie za pomocą owych ludzi mógł dla swego kraju osiągnąć. Zasłonił ich tedy przed zemstą dzikich, darował im życie, dobrodziejstwami ich obsypał, a wzajem prosił ich tylko o uchylenie tajemnic tej cywilizacji, którą zaprowadzić na swych wyspach pragnął. John Young, prosty angielski majtek stał się niebawem przyjacielem, powiernikiem i prawą ręką monarchy. I on i jego towarzysze Davis, rzucili na te bujną i żyzną glebę pierwszy zasiew oświaty i postępu. Obydwaj zostawili po sobie pamięć czczoną i potomków wysokie w kraju piastujących godności. Wnuczka Younga, urodzona z jego córki Fanny, zaślubionej jednemu z przewodźców krajowych, w sześćdziesiąt lat po zgonie dziadka, przyjmowana była w Windsorze z honorami przyznawanymi głowom ukoronowanym.

Wnuczką tą była Emma, do wstąpienia na tron państwa wysp Hawaj przeznaczona, a urodzona w Honolulu, największem całego archipelagu mieście, d. 2 Stycznia 1836 r. Nie żył już naówczas wielki Kamechamecha, założyciel dynastii. Kiedy umierał, marzenia jego młodości były już urzeczywistnione: stał się panem całego archipelagu, złożonego z dwunastu wysp, a obejmującego przestrzeń 19.756 kilometrów kwadratowych. Przedstawia to całość większą np. od Badenii, nieliczącej więcej nad 15.000 kilom. kwadratowych. Kamechamecha zwał mur dzikości odgradzającą jego państwo od cywilizacji i otworzył je na oścież dla wszystkich podniosłych wpływom religii i oświaty. Materyalnie kraj odrazu do niebywałej doszedł pomyślności. Na żądanie monarchy, jeden z żeglarzy Vanconier, przywiózł mu w r. 1793 stadnika, pięć krów, kilka owiec i baranów. Nieprzeliczone trzody pasące się dziś na żyznych łąkach archipelagu, pochodzą wszystkie z owego podarku. Postarał się mądry król o narzędzia rolnicze, zjednał sobie i sprzymierzeńców do reformatorskich swoich przedsięwzięć. Misyonarze metodyści z Stanów Zjednoczonych przybyli i za pomocą szkół jeli torować drogę prawdą i obyczajom chrześcijańskim. A tak umiejętnie zabrali się do dzieła, iż w przeciągu lat trzydziestu zupełnie dzikie przedtem plemiona przeprowadzili w stan całkowitej oświaty, oile ta da się zaszczerpić na gruncie szczepowo i klimatycznie całkiem odmiennym.

To nagłe przekształcenie stosunków dziwnie się odbiło na stanie ludności wysp Hawaj. W miarę postępu dostatku cywilizacji wzrastała i śmiertelność, a do tego stopnia, iż gdy w r. 1832 licono 130.000 mieszkańców, obecnie niema ich już nawet 58.000. Zdaje się, iż używanie odzieży, zamknięcie się w domach, pracowitsze i regularniejsze życie, zmniejszenie ruchu, zmiana pożywienia — fatalnie oddziaływały na ludzi dotąd przyzwyczajonych do swobodnego przepędzania życia na słońcu i powietrzu. Zbyt szybkie przejście ze stanu dzikości do cywilizacji, okazało się niehygienicznym i odbiło się nawet na przeznaczeniach dynastii Kamechamechów już dziś wygasłej. Wszyscy z kolei następcy wielkiego założyciela tej wyspiarskiej potęgi zaledwie czwartego dożyli kżyżka.

Wśród mnóstwa szkół powstałych, jak na uderzenie różdżki czarodziejskiej, odznaczała się osobna szkoła dla dzieci wodzów, założona w Honolulu. Tam młoda Emma razem z królewskimi dziećmi odebrała staranne wychowanie od matki i posiadała dokładną angielskiego języka znajomość. W szkole nauczyła się historii, geografii, muzyki, rysunku, słowem: wszystkiego, co należy dziś do zakresu wykwińskiego wychowania panien. Ustronne tam pędziła życie, a tymczasem na tronie Kamechamech III następował po drugim tego nazwiska królu, i niebawem Kamechamech IV, w jednej z młodych Emmą wychowany w szkole, po

dłuższej do Europy podróży wraz z bratem swoim księciem Lotem, powołany został do objęcia władzy królewskiej. Korzystał ze swego wyniesienia, aby zaślubić oddawna ukochaną Emmę. Liczyła ona wtedy lat dwadzieścia, zgrabnej kibi, regularnych rysów twarzy, miała słizne oczy i wiele w obejściu wdzięku. Cała jej postać tchnęła łagodnością. Umysł do poważnej skłonny działalność, najczęściej się zajmował zagadnieniami religijnymi dzieła miłosierdzia szczególnie dla niej miały urok; posiadała piękny talent do muzyki, nad inne zabawy umysłowe przekładała czytanie i dokładnie znała literaturę angielską. Młody monarcha, który ją od dzieciństwa kochał, godzin był ze wszech miar jej ręki. Urodą i wzrostem górował nad poddany, słynął z niedorównanego uroku i łaskawości, rozmawiał dowcipnie, do przyrodzonego rozumu wielkie łącząc czytanie. Literatura angielska miała w nim gorącego wielbiciela i nad wszystko lubił rozczytywać się w Shakespeare'ze, Tennysonie, a z powieściopisarzów Thackeray'a i Dickens'a przekładał nad innych. Była to natura nawskroś wykwińska, nerwowa żywa, pełna przytem i bolesnych sprzeczności, jakie wytworzyło położenie zewnętrzne i temperament i natura umysłu. Serce gorące w zimnych formułkach metodyzmu zaspokojenia znaleźć nie mogło. Mystycyzm wdarł się do stęsknionej wyobraźni. Zkądinąd plemienne, dziedziczne namiętności, ciągnęły w nim bój staczały ze sztuczną a nagłą oglądą i uobyczajaniem. Zaślubiwszy ukochaną Emmę w 1856 r., młody król poddał się zrazu jej dobroczynnym wpływom. Na dworze zapanowała etykieta dobrego wychowania, ład łomowy i prawidłowość życia: z jednej strony Emma starała się od małżonka oddalić złych towarzyszy jego burzliwej młodości, z drugiej wprzegła go do czynów miłosierdzia, które wokoło siebie mnożyć rozpoczęła. Zaniepokojona mianowicie rosnącą śmiertelnością swego ludu sprowadziła najlepszych lekarzy, zajęła się najlepszym urządzeniem higienicznym i założyła pyszny szpital noszący dotąd miano „szpitala królowej.“ Kamechamecha IV całym sercem dopomagał jej w tych filantropijnych zamiarach i z wrodzoną sobie hojnością nie szczędził jej parcia. Ona nawzajem stawała z nim w obronie autonomii wysp Hawaj, na które czyha ustawicznie niezaspokojone łakomstwo Stanów Zjednoczonych, znających dobrze znaczenie takiej stacyi morskiej między Ameryką a Azyą. Ale niestety! słaby charakter a ognisty temperament młodego króla razporaz wtrącał go w niegodne majestatu i osobistej szlachetności orgie. Przez długie miesiące trwał król w pracy, w cnocie, we wstrzemięźliwości; aż tu lada pokusa nagle dawne, dziedziczne w nim budziła namiętności. A wtedy przez kilka dni z rządu topił rozum w wodce, hulał i szalał jak zwierzę, a biada temu, coby na gniew jego się wówczas wystawił! Ochłonałszy z tych dzikich obłędów, rumienił się sam z podobnych powrotów do dzikości, marzył o pokucie, o odkupieniu winy i tak odbijając się od bieguna do bieguna, długo ani moralnie ani fizycznie dźwignąć się nie mógł. Królowa miłością go zatrzymywała na pochyłości tak dla niego niebezpiecznej; ale nawykła do uległości tamiecznych kobiet dla mężów i wodzów, ograniczała się na łagodnych wyrzutach. Urodzenie syna, tytułem księcia Hawaj ozdobionego, ustaliło szczęście domowe i publiczne pary monarszej i ich poddanych. Królowa Wiktorya ofiarowała się na matkę chrzestną nowonarodzonego. Zdawało się, iż żadna chmurka nie zaciemni widnokręgu młodego państwa, gdy w tem Kamechamecha IV ponownie wpadł w opętanie dzikości i zmysłowych uciech. Pił na umór, otoczony zwykłymi swych hulank uczestnikami. Jeden z nich, najbliższy z towarzyszy młodości króla, anglik Neilson, nie odstępował go w tej dzikiej zabawie. Słodkie wymówki królowej żadnego nie odnosiły skutku. Już od dni kilku trwały te barbarzyńskie szale, gdy nagle król w przystępie dzikiego obłędu, strzelił do przyjaciela i śmiertelnie go ugodził.

Otrzeźwiałszy odrazu widokiem umierające-

go, Kamechamecha sam chciał sobie odjąć życie, a następnie postanowił złożyć koronę, której się już nie czuł godnym, i synowi ustąpiwszy tronu, resztę dni swoich na pokucie przepędzić pragnął. Wpływ łagodzący królowej, rady starszego brata, zaklęcia poddanych szczerze do niego przywiązanych, powstrzymały ten krok gwałtowny. Ale już się nie podniósł z głębokiego smutku; podcięty wyrzutami sumienia młody monarcha zamierał. Katolicka nauka o pokucie i przebaczeniu, byłaby go dźwignęła ze zwątpienia; chłodne formułki anglikanizmu, do jakiego wówczas za radą królowej przystał, nie przyniosły zaspokojenia skołatanej duszy. Śmierć czteroletniego synka, w dniu przybycia przedstawicieli królowej Wiktoryi i ks. Walii dla odbycia ceremonii chrztu, ostatni cios zadała starganemu życiu Kamechamechy. Daremnie królowa Emma o własnem zapominając cierpieniu, ukoić ból małżonka próbowała. Zgasł nagle po ośmiu latach panowania, zdając rządy na starszego brata, księcia Lota, który przybrał miano rodowe Kamechamechy V-tego.

(Dokończenie nastąpi).

KARTA Z PAMIĘTNIKA POETY.

(Dalszy ciąg).

Czerwiec. — W górach.

Uroczy miesiąc przepędziłem tutaj. Mieszkam w przytulonej do skały, poetycznej willi Kirnicztał. Pokój mam wybity błękitem i siedzę sobie w nim jak motyl w kielichu powoju i marzę. U okien pną się róże, w różach mieszkają błyszczące robaczki. Na progu domu pełno zawsze listków róż. Żyję jak czarowany król, tylko że nie śpię, ale czuwam. Siedzę godzinami w winogradowej altanie i nie robię nic, nie czytam, nie piszę, prawie nie myślę; patrzę tylko w leżącą za gościńcem dolinę, na łańcuch gór, który ją zamyka, na snującą się po wierzchołkach mgłę jak postacie w balladach; w dole szumi strumień górski — to Kirniczbach. W głębi ogrodu zstępuje ze stromej ścieżki dziewczyna w ciemnej odzieży, na plecach niesie związane sznurem siano. Naraz, uśmiech wesoly, figlarny, rozjaśnia jej twarz, różę, którą trzymała w ręku, ciska przez mur na drogę... tam stał pod murem ogrodu młody robotnik, chwycił dość zręcznie grubą swą ręką kwiat i poszedł. Dziewczyna patrzy za nim przez chwilę, a potem zstępuje dalej z górzyściej ścieżki, pochylona pod ciężarem siano. Na gościńcu rąbie kamienie inny robotnik, już nie młody, silny, barczysty, a czyni to nie tak jak nasi ludzie; nie śpieszy się, robi swoją rzecz z rozmysłem wielkim, powoli unosi młot i spuszcza go z siłą, bije regularnie kamień, póki go nie pokona, nie irytuje się, gdy żelazo odskoczy, nie klnie, nie opuszcza rąk, nie ustaje, nie śpieszy się, nie męczy się, nie odpoczywa: kuje i kuje jakby ruchem maszynowym. Ubrany porządnie; kapelusz otacza mu czoło, wzrok ma spuszczone śledczo prawie na przedmiot swej pracy, jakby rachował najdrobniejsze kawałki odlatujące od bryły, jakby mu coś zależało na tem, aby to rozbijanie szło systematycznie, jakby miał nuznaczoną liczbę cząstek na ile kamień ma rozbić, jakby układał w myśli, opartą na doświadczeniu metodę tłuczenia kamieni. Wydał mi się typowym okazem. Taki wzrok mają tylko Niemcy, on wyraża ich charakter; tak patrzy uczony w swą książkę; tak patrzy muzyk przed siebie, szukając motywu; taksamo i Goethe na owym portrecie, gdzie spoczywa na złamanej kolumnie wśród pól rzymskiej Kampalii, taki ma wzrok Kant, taki ma pewnie i Hartmann, tak patrzy i ten prosty robotnik. Coś świdującego jest w ich zdolnościach, a czy one są w pełnem rozwinięciu, czy drzemają uśpione, to ich cecha jest widzialną a zdradza ją rodzaj spojrzenia.

Ciemniało dokoła mnie; w sąsiednich willach na wzgórzach błyszczały światła, noc zstępo-

wała powoli, spokojnie, jakby przyzwyczajając chciała naturę do swego ciemnego oblicza.

Dusza przez dzień wylatuje nazewnątr, buja, zbiera wrażenia, doświadcza, pamięta, pracuje, zarabia; a pod wieczór noc wpędza ją napowrót do wewnętrznego więzienia, gdzie musi się ze wszystkiego obliczać, rachować, summować, dzieńne korzyści i stracone chwile; lenistwo duchowe jest bezmyślnym zbytkiem, prowadzącym do moralnego bankructwa; siępracowane godziny są procentem od żelaznego funduszu, jakim jest czas, a marnowanie tego kapitału jest początkiem ruiny umysłowej.

Nie znaczy to, aby zawsze być poważnym, zamysłonym — bo czyżby można tak wytrzymać? przynajmniej ja bym nie mógł. Wesołość jest smiechem duszy: czemuż-by się chwilami śmiać nie miała, kiedy jej z tem dobrze? — Czytając nowe psychologiczne dzieła, czułem pewne zadowolenie w tem, że główną ich cechą było badanie duszy i jej całego ruchu; więc ja, rozbiegający tak ciągle stan mego umysłu, szedłem tylko za prądem czasu, za dążeniem dzisiejszej nauki, aby być sobie samemu sędzią, badać własnego ducha, objawy, porządkować je, wynajdywać w ich związkach pewne stałe prawa, te prawa łączyć, formułować, ustalać i tworzyć z nich na doświadczeniu opartą — wiedzę. O, mam ja psychologię mego — która, w połączeniu z historią mego życia, dałaby mi smutną może trochę nie bez mej winy — filozofią — nie: „des Un“, ale: „des Selbstbewusstseins.“ I zdaje mi się czasem, że siebie znam: ale gdzie tam! naraz z głębi istoty powstaje nowy objaw, nowy ruch, a ja pytam się zdziwiony: cóż to jest takiego? czy to ja? Tak, to ja, tylko nieznan sam sobie. I biorę się wtedy do poznawania tej nowej części siebie. Nieraz opanowały mnie dziwne trwogi, zawsze z powodu ni knięcia poezji mojej, o której, to już trudno, zapamiętać nie mogłem. Bałem się czy też mam ja wszystkie struny, potrzebne do odegrania obowiązkowej pieśni wewnętrznego życia. Może grając na wszystkich razem, nie spostrzegłem w ogólnym gwarze, że czegoś braknie. Więc trącałem strunę po strunie i badałem pełność tonu. Boże! jakież one przeważnie były słabe, jak nierówno dostrojone do siebie, jak niewytrzymałe! Pytałem się najpierw uczucia: czy jesteś? — Ach.. odezwało się, ono jedno najwyraźniej. Wszak znałem cierpienie. Zbudzony ból wyrzucał mi, że go wywołuję ze stanu spoczynku. Czyż nie dość dokładnie cierpiałem abym się musiał o jego istnieniu przekonywać? — Dalej wołałem: Myśli, wstań! I stanęła przedemną. — A tyś czemu taka chwiejna? Czemu masz tyle kwiatów na głowie, a podpierasz się jakimś kruchym badykiem? Biedna, nie wiedziała co odpowiedzieć i w końcu całą winę zrzuciła na mnie: — A czemu mnie nie wzmocniłeś, nie uczyniłeś silną przez własną pracę? Musiałem umilknąć; miała słusność. — Imaginacyo, gdzie jesteś? — O, ta była na każde zawołanie. Zleciała jak baletniczka, zwinna, rozpromieniona, dzwoniąc kaskanetami, polyskując dyademem niewielkiej wartości. Zmarszczyłem brwi — Odejdź! — rzekłem niecierpliwie — jesteś pełną aludy, *fata morgana* duszy, idź na świat, żyj, i ucz się na pamięć rzeczywistości.

Wstydzilem się przed sobą na tym examinie, widząc, jak prędko dosięgam głębi. Wołałbym czuć niemoc zgłębienia własnej nawet duszy, niż napotykać tak prędko na dno, zwyczajnym zasłute zwirem.

Nie mnie tak nie bolało, jak tego rodzaju spostrzeżenia. Wtedy rzucałem się w jaką trudną pracę umysłową lub praktyczną, aby coby prędzej zdobyć sobie jakąkolwiek zasługę. Gdyby można chwile życia zamieniać na stopnie wyższości duchowej, byłbym może już nieraz wyczerpał życie dla żądzy dążenia ku górze. Studyjując różne metody psychologiczne, za każdą nową zasadą, nową prawdą, czyniłem, z jakimś gorączkowym pośpiechem — doświadczenia na sobie — czy się uda? Niecierpliwilem się, gdy czułem jakiś opór wewnętrzny, a szczególnego doznawałem zadowolenia, gdy psychiczna zasada przystawała do mej duszy jak trójkąt do trójkąta. Prawdy psychologiczne, obejmujące cechy dusz ogólne, wspólne wszystkim umysłom normalnym, są jak

geometryczne figury, którym równać się powinna każda jednostka umysłowa, nie tracąc przystem nie z cech indywidualnych, bo przecież dwie figury mogą być sobie równe, choć każda innym wykreśloną została kolorem.

Ogarnia mnie czasem smętne zmęczenie; wtedy podniosłszy głowę, czuję z przyjemnością, jak chłodna noc orzeźwia mi czoło, wtedy odzywa się we mnie głos: O, gdyby być szczęśliwym! albo przynajmniej, choć przez chwilę, nie myśleć, nie czuć, nie pragnąć, nie tęsknić, tylko być pod wpływem chłodu, zapachu kwiatów i łagodnego światła księżycal

Cierpienia moje nie były tylko tłumione. O, nieraz w ciężkiej walce z życiem i z ludźmi, musiałem zdobywać się na akty silnej woli, aby nie wybuchnąć rozpaczliwą skargą lub gniewem. Ludzie. — czy wy nie czujecie, ile czynicie sobie krzywd duchowych, czy wy nie czujecie żadnej a żadnej odpowiedzialności za ból rzucony wpiers obojętnego wam człowieka? Na drogach świata więcej leży serc ludzkich niż kamieni, które nie bacznym, lekkomyślnym lub złośliwym przechodźcą potracą, nie myśląc co czyni tak jak nie obchodzi nas kamień deptany na gościńcu. Znałem ludzi, do których rwało mi się serce, uważałem ich za wzory szlachetności, i oddawałem im moję wiarę młodzieńczą bez żadnego rachunku; a potem ci ludzie upadali w moich oczach jak mary, i darmo wołałem: Ach, zostańcie czemeście byli wędźcie napowrót na wyżyny, gdzie chciałem zawsze was widzieć! Nie, nie wrócili, i jeszcze noję ufność dziecinną wyśmieli, mówiąc mi: — Marzycielu! cóż ty myślisz, że my jesteśmy jak Księżę Niezłomny? To dobre dla poezji, ale w życiu inaczej! Nie można się dać życiu zamęczyć; i szczęścia się pragnie, i korzyści i odpoczynku. — Umrzeć raczej, niż znaleźć taki spoczynek kosztem tych zasad, co nam przyświecały za lepszych dni ducha! Odpychałem te ludzkie widma ze wstrętem i nie mówiłem do nich więcej. Oni nieraz kiwali głowami, widząc mnie smutnym lub gdy walką umysłową dreczony, biegłem w śnieżne zawieje za miasto. — A gdzież się to poezja podziała? — pytali ironicznie. — Ikarze gdzie skrzydła twoje? — O, gdybym im mógł być wtedy pieśń wielką wygłosić, pieśń silną, przed którąby musieli umilknąć! — Nie miałem tej po ciecchy, czułem się boleśnie dotkniętym, ale mnie upokorzyć nie mogli. Miałem ja skrzydła, lecz Ikarzem nie byłem nigdy. Kochałem prawdę, wiedząc zawsze, gdzie jest granica mojej siły. W końcu zapomniałem o tych ludziach. Byli jednak inni, o których zapamiętać nie byłem zdolny, choć się także oddalić wołałem — ci, co dawniej niejedną odkryli mi piękność w życiu, co otwierali mi oczy ku celom wysokim i słuchającemu, z ciekawością dziecka, opowiadali złote baśni o ideach ludzkości, co marzyli czas jakiś ze mną a potem gdy już był na mej drodze — oni porzucili się bocznymi ścieżkami, które dły życie ciaśniej lecz spokojniej idzie. Może musieli — tłómaczyłem ich przed sobą — może nie mieli dość sił i odwagi przebijać się wśród cierpień, które czas pewien dźwigali cierpliwie. Patrzyłem z tymi dobrymi lecz słabymi ludźmi z żalnością, patrzyłem nawet z tęsknotą, dziwiłem im się, niekiedy ich oskarżałem, ale nie mogłem przestać być wdzięcznym za dobro, które mi dali nie dły, nie mogłem zapomnieć, nie mogłem też zawrócić się dla nich, bo miałem już drogę swoją.

O, jak boleśnie uwielbienie zamieniać na litość! O, jak nudno, jak nudno jest w życiu, gdy gwiazdy, co błyszczały, nam w górze, czołgać się zaczęły po ziemi! — Zamykałem się w sobie, postanawiając nie czuć tak silnie — napróżno! przy najbliższej sposobności znów czułem, ufałem, wierzyłem, kochałem! Dziwiłem się sam sobie, że mnie doświadczenia nie zrażały. Tajemnicza siła ciągnęła mnie do ludzi, i atrakcyi tej nic we mnie przerwać nie mogło. Musiała być wrodzoną. Brałem wszystko z ochotą do płonącego serca, nawet ból, choć w chwilach goręczy i zniechęcenia wołałem rozżalony: — O, komedyo ludzka, ty nie masz w sobie nic bożkiego! — Miałem sobie dużo do wyrzucenia, wstyd mi było błędów różnych i zmarnowanego czasu; ale zbroja moja była czysta, na piersiach nie czułem żadnego

ciężaru, nie plamiła mi wspomnień żadna kropla zniejęonej krwi bratniej, żadna łza rozmyślnie zadanego cierpienia. Mogłem oddychać swobodnie słysząc niejako słowo, lecące za mną jak grot, który w serce trafiał zawsze, ale nie potrzebował szukać sumienia. W miarę zastanawiania się nad życiem człowieka w społeczeństwie, stawałem się sprawiedliwszym i wyrozumialszym bez uniewinniania złego. Widziałem pokutującą jednostkę za wady urządzeń, i zdawało mi się, że nieraz, ogół za nią odpowiedzieć-by powinien; nie wybuchałem już oburzeniem, jak dawniej, i chciałbym-był wynaleźć obronę dla tych ciemnych, upadłych istot, pchanych pierwotną jakąś przyczyną, co cisnęła im w duszę zarody złego.

Imponowało mi to hasło: wszystko zrozumieć, to wszystko przebaczyć. I z ochotą byłbym szedł do więzień przycisnąć do serca jakiego najsmutniejszego nędznika i byłbym go zaklinał ze łzami — Ach, dobrym bądź! dobrym bądź! bo to jest szczęście, i spokój i wolność. Kochaj, a poprawisz się. Kochaj, a będziesz czystym. Kochaj, a będziesz wielkim...

Miłość wydawała mi się jedyną drogą wielkości. Widziałem po niej stąpających litośnych aniołów zawsze, niezmiennie białych i niepokalanych, ludzi, co stawali się coraz czystszyimi, jaśniejszymi, aż ich w końcu od aniołów odróżnić nie było można.

To były moje widzenia, moje zachwyty.

Mysli wzbierały, kołysały się, huczały nieokielznane, a ja żeglowałem na ich powierzchni, kierując się wolną wola, jak gwiazdą morza, szczęśliwy, że jestem człowiekiem, że myśli mam i że mogę nad niemi panować. O spokój tylko trudno. W sztuce brakło mi życiowego ruchu: więc zwracałem się do natury; w naturze tęskniłem do duszy: więc przerzucałem się do ludzi; poznając ludzi, badałem znów siebie, w sobie czułem niepokonane dążenie do zjednoczenia się z jakąś nieginącą ostatecznością wszystkiego, do źródła prawdy, miłości, spokoju, do Boga. Nieraz w nocy stawałem w ciemnej arkadzie kościoła i, oparłszy czoło o zimne szyby, czułem że mnie błogi chłód wieczności przejmuję. Wtedy, jakby już z innej krainy, patrzyłem na sprawy tego świata, na obszary ludzkiej wiedzy, i czułem tam, ponad doczesnością, olbrzymie prądy i wiry, wobec których wszystko mała i młkło; a ja dziwiłem się sam sobie, że mogłem kiedykolwiek tyle wiary i czasu poświęcać potędze ludzkiego rozumu, który mi zupełnego spokoju ani jednej nie dał godziny.

Miałem zawsze prawdziwą cześć dla wielkich ludzi, uczonych, myślicieli, chociażby ich zasady nie zgadzały się wcale z moimi przekonaniem. Każda myśl nowa wybija pewien gościniec, a choćby na jego końcu nie widniała odrazu pożądana prawda, to człowiek myślący ma jednak wielką zasługę przecinania próżni swą duchową wędrowką. W ten sposób wykuwa się droga prawdy. Przypomina to koleje żelazne Ameryki biegnące wśród martwych lasów lub Arnheimskiej puszczy piasków i spiekoty; przy tej drodze mieszka przyszłość; tam kiedyś znikną dzikie pustkowie, użyjni się grunt, osiadają ludzie, powstaną miasta, i droga dostanie cel. Objaw ten jest cechą naszych czasów. Dawniej do odkrytego kraju lub prawdy dorabiano drogę, prostowano ją, ulepszano; dziś pierwaj powstaje linia kierunku, nim znajdzie punkt, przy którym, jak przy celu, się zatrzyma, pierwaj rodzi się systemat badania prawdy, wytyka się gościniec krok za krokiem, mierzy jego prawdziwość i dopiero dociera się do celu. Czy tak lepiej? Zdaje się, że tak, logiczność opanowywa — przypadek. Na tej drodze nawet hipoteza ma pewną wartość. Stawianie jej jako dalekiej choćby prawdy jest nie- możebnem; ale, oile staje się ona fikcyjnym chociażby punktem, do którego wytyka się droga, jest czasem możebną. Hipoteza — to prawdy przeczenie; nie zawsze jednak przeczeniem kierować się można w nauce. Jest to mniej, niż stan możebności, ale już jest coś, pewna kombinacja myśli, której niekiedy można nie odrzucić. Gdyby drogę rozwojową myśli, od jej pierwiastku, aż do najświetniejszego rozwinięcia, można tak usystematyzować, żeby otrzymać szereg coraz wyż-

szych stopni, jakie są np. w świecie roślinnym lub zwierzęcym, hipoteza stałaby na najniższym stopniu ustroju, byłaby myślą, jeśli można tak powiedzieć, nieograniczoną, czemś prawie nielogicznym, jednak żyjącym już, rodzajem pierwotką, na który śmiech powiedzieć, że to zwierzę, naukowym kwiatem paproci, na który śmiech powiedzieć, że to kwiat. Wiele hipotez idzie marnie, ale są takie i były, co rozwinięte, wykształcone, nabierając w siebie coraz więcej prawdy, stawały się z czasem myślą dojrzałą, zasadą logiczną, prawdą udowodnioną. Przestrzeń wiedzy otwartą jest, jak przestrzeń błękitu; każdy porusza myśl swoją ku przeczulanemu celowi, odpowiadając niedowiarkom:

— E pur si muove!

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Lipcu.

(Dr. Longchamps.—Szpital chorych nieuleczalnych.—Zjazd pedagogiczny i wycieczka do Drohowyża.—Kolonie wakacyjne.—Stacya klimatyczna w pobliżu Lwowa.—Opis Abbazii przez prof. Tymieckiego.—Lecznica lwowska.—Album na korzyść pogorzalców stryjskich.—Sambor Stryjowi—Nienastająca wystawa Sztuk Pięknych.—Album wystawy archeologicznej, wykonane w zakładzie fotograficznym Trzemeskiego.

(Dokończenie).

Zapewne, że lwowskie Brzuchowice nie dorównają tego rodzaju stacyom klimatycznym zagranicznym, ale nie każdy, a właściwie mówiąc, mało kto jest w stanie jechać nad brzegi morskie, oddychać wonią cytrynowych i pomarańczowych gajów, pieścić oko kwieciami oleandrów i zielonością wawrzynów, do Włoch lub południowej Francji, a chociażby tylko do najbliższej, a od lat kilku mocno w modę wchodzącej Abbazii na Adryatyckim wybrzeżu. Opis tego, słusznie coraz bardziej ulubionego i coraz liczniej zwiedzanego miejsca, wydał obecnie professor tutejszej szkoły leśniczkiej p. Władysław Tymiecki w broszurze pod tytułem: *Abbazia, jej stosunki klimatyczne i przyrodnicze*. W opisie tym przedstawi się Abbazia ze wszystkimi swymi właściwościami, któremi ją uposażyła przyroda a następnie przedsiębiorczość człowieka, umiejętnie zastosowana. Autor, jako professor botaniki i specjalista w tym przedmiocie, poświęca znaczną część swej pracy opisowi flory miejscowej, którą ze szczególniejszym badał zamilowaniem. Rozprawa prof. Tymieckiego, napisana wdzięcznym stylem i z naukowym znawstwem, może zarazem służyć za użytecznego przewodnika osobom udającym się do Abbazii, czy-to dla zdrowia, czy dla przyjemności.

Gdy bogaci, posiadający fundusze, jadą szukać zdrowia po całym świecie, kilku młodych lekarzy tutejszych powzięło i wprowadziło w życie dobroczynną wielce myśl ułatwienia ubogim możliwości ratowania zdrowia, bez uciekania się do szpitala, lub dobroczynności prywatnych lekarzy. W tym celu złożywszy pomiędzy sobą składkę na opędzenie pierwszych potrzeb zakładu, urządzili lecznicę publiczną, w której w godzinach przedpołudniowych udzielają kolejno porady lekarskiej bezpłatnie każdemu zgłaszającemu się tam choremu. Młodzi nasi lekarze, mianowicie p.p. Sielski, Jahn, Szram, i kilku innych uczestniczących w gronie założycieli lecznicy, zasłużyli tym pięknym czynem na rzetelną wdzięczność miasta Lwowa, a zwłaszcza ubogich jego mieszkańców, tembardziej, że poświęcając dla nich nietylko swój czas i naukę, ze szczególną ofiarnością nie szczędzili kosztu, aby własnymi funduszami wprowadzić w życie zakład tak bardzo pożyteczny. Po tym zrobionym chwalebnie początku, można być pewnym, że gmina tutejsza nie omieszką przyczynić się ze swej strony do utrzymania zakładu, o którego pożyteczności przeko-

nywa już to samo, że w przeciągu pierwszego zaraz miesiąca po otworzeniu go, zgłosiło się doń, według wykazów dziennych, regularnie prowadzonych, przeszło *tysiąc* ubogich chorych, szukających porady. Lecznica lwowska różni się tem od warszawskich, że gdy tam otrzymuje się poradę za małą opłatą, w lwowskiej nie przyjmują wcale opłaty, udzielając pomocy lekarskiej całkiem bezpłatnie. Wszelako pożądaną byłoby rzecz dla chorych, aby także i w tutejszej lecznicy, kto jest w stanie to uczynić, mógł leczyć się za małą stosunkowo opłatą. Bezinteresowność bowiem lekarzy ordynujących w lecznicy, zawarowana statutem zakładu, zamyka doń drogę wielu chorym, którzy nie chcą wyzyskiwać popołu z najuboższą ludnością ordynujących w lecznicy, a mieliby sobie to za wielkie dobrodziejstwo, gdyby się mogli tam udawać po radę za opłatą umiarkowanego, stale oznaczonego honorarium.

Zapowiedziana zaraz po pożarze Stryja książka zbiorowa na korzyść pogorzalców, wydana przez tutejsze koło literackie artystyczne, wyszła temi dniami pod napisem *Lwów Stryjowi* w formacie dużej ćwiartki, obejmująca czternaście arkuszy druku i wiele starannie wykonanych rysunków i fotodruków. Wydanie jest bardzo piękne, ozdobione kartą tytułową rysunku Młodnickiego, zastosowaną allegorycznie do celu wydawnictwa. Treść, jak zwykle w wydawnictwach tego rodzaju, składa się z urywkowych artykułów i aforyzmów rozmaitego pióra; pomiędzy innymi występują tu weterani naszej literatury, jak Kraszewski, Lenartowicz, Zacharyasiewicz i inni, obok liczego zastępu młodszej rzeszy pracujących na niwie literatury i sztuki. Warszawa dostarczyła sporą wiązanek utworów do tego zbioru, odznaczającego się wielką różnorodnością zawartych w nim rzeczy, tak prozą, jak wierszem. Rysunki, po większej części typy i portrety, są przeważnie bardzo piękne. Wydanie jest podwójne, droższe i tańsze, która-to różnica w cenie ztąd pochodzi, że w droższym dodano ośm bardzo pięknych fotodruków, wykonanych przez tutejszego fotografa artystę Trzemeskiego. Zresztą niema pomiędzy obu wydaniem żadnej różnicy, ani w treści literackiej, ani w rysunkach.

Ale nietylko Lwów pośpieszył na tej drodze na pomoc pogorzalcem Stryjskim. Za tym przykładem pojawiła się równocześnie w Samborze, wydana ozdobiennie w formacie kieszonkowym, sporej objętości, książka pod napisem: *Sambor Stryjowi*. Zawiera ona udatny przekład znanego w literaturze niemieckiej poematu Zedlitz: *Wiehce po śmierci*, dokonany przez G. Kohna, niestrudzonego wydawcę *Roczników Samborskich*, który postawiwszy sobie za zadanie życia popieranie za pomocą literatury celów filantropijnych, nie zrażony niczem, prowadzi już dłuższego lat szeregu wydawnictwo *Roczników*, oddając rok rocznie cały z nich dochód na cele dobroczynne. Obecne wydanie poematu Zedlitz, przeznaczone przezeń na korzyść Stryja, ozdobione dwoma fotodrukami, jest tak ze wszelkich miar staranne pod względem typograficznym; iż może śmiało rywalizować z produkeyami drukarni tutejszych.

Na wystawę sztuk pięknych przybyło wiele godnych widzenia obrazów. Powszechną uwagę zwraca portret Smolki, wymalowany z polecenia Cesarza Franciszka Józefa, przez niezwykłego już dziś Canona, przeznaczony do sali Rady Państwa w Wiedniu, której krzesło prezydyalne zajmuje Smolka, powoływany nań kilkakrotnym z kolei wyborem. Przedstawiony jest on tu w naturalnej wielkości, w stroju narodowym. Na portrecie, bardzo pięknie zresztą malowanym, wydaje się starszym, niżeli w rzeczywistości. Szczególniejszem podobieństwem odznacza się portret zasłużonego profesora krakowskiej szkoły sztuk pięknych, malarza i archeologa Łuszczkiewicza, znakomicie malowany przez Rawera, i Pochwalckiego portret ś. p. Józefa Szujskiego, w płaszczu rektorskim i z insygniami rektora akademii Jagiellońskiej. Z większych kompozycji znajduje się obecnie na wystawie Strażyńskiego *Walka gladiatorów* w cyrku rzymskim, obraz znamionujący utalentowanego malarza, który wywołuje

umyślnie trudności rysunkowe, aby je z powodzeniem pokonywać. Postacie walczących gladiatorów nastrożają ku temu sposobność, z której skorzystał niejako w sposób popisowy. Staranny obraz Lepszego przedstawia *Alarm z wieży ratuszowej Krakowa*, podczas podstąpienia pod Kraków roku 1587 wojsk ubiegającego się o tron polski arcyksięcia Maksymiliana. Z okna wieży widać miasto; jeden z obecnych przez lunetę śledzi ruchów nieprzyjaciela, a mieszczanin pełniący służbę *bębni*, czeka na sygnał, aby uderzyć w bęben alarmowy. Grupa typowych postaci dobrze ucharakteryzowanych, składa tę zajmującą kompozycję. Kozakiewicza, znakomity, również typowy obraz, *Modlący się Żydzi*, zakupiony został przez ministerium oświaty za 4000 guldenów, dla Krakowskiej szkoły sztuk pięknych. Przybył też na wystawę duży obraz Wojciecha Kossaka *Atak ułanów polskich na wawóz Somosierry*, i przesłane rysunki Juliusza Kossaka, wykonane jeszcze w roku 1860 ilustrujące *Pieśń o ziemi* Wincentego Pola. Miniaturowe te rysunki przedstawiają wybornie ujęte typowe postacie, grupy i krajobrazy różnych okolic, opisanych w pieśni.

Wspaniałe wydawnictwo ukaże się temi dniami. Jest to *Album* wystawy archeologicznej tutejszej. Składa się z pięćdziesięciu tablic fotograficznych, w formacie dużym arkuszowym, wykonanych w zakładzie fotograficznym Trzemeskiego. Do tablic dołączony jest tekst opisowy, w trzech językach, sporządzony z naukowym znawstwem. Wydawnictwo to, pomnikowe w swoim rodzaju, jest głównie zasługą p.p. Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, konserwatora pomników starożytnych krajowych, za którego pobudką i staraniem przyszedł do skutku zjazd archeologiczny wraz z wystawą i Ludwika Wierzbickiego, któremu znowuż zawdzięcza głównie swój rozwój pomysłny tutejsze muzeum przemysłowe miejskie. Fototypy składające *Album* przynoszą chlubę Zakładowi p. Trzemeskiego, wykonaniem tak wiernem w najdrobniejszych szczegółach, a przytem tak artystycznie pięknem, że lepszemu żądać niepodobna.

Władysław Zawadzki.

Kronika działalności kobiecej.

— Zakład hr. Cecylii Piaterówny, zamierza z otwarciem roku szkolnego dodać do nauk, pobieranych przez uczennice oddziału 1-go, przygotowawczego: kurs buchalteryi, korespondencyi handlowej i towaroznawstwa. Zakład pragnie również pomnożyć naukę rzemiosł na oddziale II-gim, dodając naukę gotowania i prania, co byłoby rzeczą niezmiernie użyteczną i pożądaną, tak dla kobiet chcących w tym kierunku na chleb pracować, jak i dla gospodyń, które w uczeniach zakładu znalazłyby służące dostatecznie uzdolnione w dwóch najważniejszych gałęziach pracy domowej. Kwasek, rozkładającym stosunki między sługami i ich pracodawczyniami, jest brak potrzebnego uzdolnienia służącej. Nie mogąca zadowolnić, węc ganiona, dziewczyna prosta, niemająca gdzie wyczyć się pracy swojej i zmuszona nabywać ją już w obowiązku, z którego źle się wywiązuje, zniechęca się, buntuje przeciw losowi swojemu, zmienia służbę za służbą i psuje się coraz więcej. Przyłożyć się w czemkolwiek do zmiany tego położenia, byłoby wielką zasługą w kierunku umoralnienia klas ludowych.

— W zeszłym miesiącu zmarła w Warszawie Anna Kochanowska, licząca lat 74 i spełniająca do końca obowiązki kucharki w domu p.p. Dzieńkowski, u których przeżyła bez przerwy lat 20. Poprzednio w przeciągu lat więcej niż 50, zmieniła służby trzy razy. Oszczędności, uczciwie z odkładanej pensyi zebranych, posiadała 10,000 zł., które umierając złożyła w ręce p. Dzieńkowskiego, aby według uznania użył ich na cele dobroczynne. Była to niewątpliwie uczciwa ko-

bieta i niech jej lekką będzie mogła ziemi ojczystej, na której pracowała poczciwie, lecz musiała ona dobrać sobie rozumnie równie uczciwe i domowe swe obowiązki dobrze spełniające pracodawczynię. Aby służąca mogła być dobrą, trzeba zarazem, aby dobrą, rozumną, umiejącą i chcącą rządzić była gospodyni domu.

— Ośm właścicieli ziemskich z okolic Grójca i Tarczyna zawarło w dniu 2-gim bieżącego miesiąca spółkę, obwarowaną aktem rejentalnem, dostarczania do Warszawy produktów gospodarstwa wiejskiego. Na kapitał obrotowy złożyła każda ze współniczek p. 1.000 rs., z którego to wkładu założone będą dwa sklepy spożywcze: jeden na Nowym-Świecie, drugi przy ulicy Chłodnej. Można rokować przedsięwzięciu powodzenie, jeżeli sklepy te będą prowadzone na zasadach dobrze zrozumianego handlu, to jest, jeżeli współniczki będą uprawiać obrane gałęzie gospodarstwa swego z myślą specjalnie zwróconą na przedsięwzięcie; jeżeli towar będzie się dostarczał regularnie i nie w warunkach tego, co współniczkom od własnego zapotrębowania zbędzie; jeżeli nie będzie produkowanym kosztownie przy pomocy drogich wyręczyńców i ztąd ceny mogą być umiarkowane. Dobry zarząd sklepów, porządna rachunkowość i staranna punktualność, to również podstawy powodzenia, których dotąd brakowało ogólnie przedsiębiorstwom tego rodzaju. Upadały też w kolej, bo przekupień z drugiej ręki mógł sprzedawać taniej, niż w sklepach gospodyń wiejskich, które przytem nie bywały dość prawidłowo zaopatrywane w towar żądany przez publiczność. Mieć wiadomość tego, co najpokupniejszem być może, i co dostawiać trzeba z regularnością kupiecką—to jeden z wielkich warunków powodzenia.

— Niezmiernie zajmującym zjawiskiem w dziedzinie naszej działalności kobiecej jest głos penej *W. L.*, umieszczony w *Gazecie Świątecznej* (N. 286) „Słowo kobiety do kobiet.“ Wiesniaczka, czytelniczka *Gazety*, odzywa się do wiejskich, jak ona kobiet, w interesie ich oświaty i—wpływu na mężczyzn! W tym podwójnym celu każe ona współsiostrom swoim uczyć się i czytać, każe im czytanie zamiłować. Czasu nie zbraknie tej, która ma prawdziwą chęć do czarnego na białem, a czas ten straconym nie będzie. Z książek, z gazety, można się wielu potrzebnych rzeczy dowiedzieć, bo przecież wszystko, co człowiek robić umie, przyszło mu taką koleją: jednym od drugich. A korzyść z nauki jest jeszcze ta, że bawi ona człowieka w chwilach czasu wolnych, i grzecznym go czyni, bo od karczmy i pijatyki broni, pomaga do tego, aby ludzie mieli ze sobą o czem pomówić. Pisząca jest, jak się chwali, gospodynią, ma więc w domu dość do roboty, ale czuje potrzebę nauki już z tego powodu, że się teraz mężczyźni uczą. „Kobieta jest takie same Bożkie stworzenie, jak i mężczyzna“ a gdy żona potrafi się do męża rozumnie odezwać, gdy umie dobrą radę czasem dać, to potem on sam po tę radę do niej przyjdzie—„Wiedząc, że jest ciekawa dobrych rzeczy“, pomówi z nią „o gospodarstwie, o dzieciach—o wszystkim.“

I potrzebę szacunku ludzkiego uczuwa korespondentka. Dla tego szacunku, dla współdziałania w interessach, dla wpływu na męża, gospodyni *W. L.* wzywa do nauki kobiety, „takie same, jak mężczyźni stworzenia Bożkie.“ Redakcja *Gazety Świątecznej* poręcza wiarogodność tej odzewy, ponieważ jest u dołu dopisek, że *Słowo kobiety do kobiet*, zostało tylko „przejrzane do druku przez C. G.“ Chce się prawie żałować, że przejrzanie owe miało miejsce; oryginał taki, jakim się w ręce Redakcji dostał, byłby niezmiernie ciekawym dokumentem dla czytelnika,

któryby charakterystykę piszącej ze stylu sobie chciał czynić. Przecież dla publiczności, która *Gazetę* czyta, potrzebnem jest, aby wszystko, co się tam drukuje, miało język poprawny i ład myśli piśmienny. Myśli tych tresć—to w każdym razie rzecz główna, o którą tu chodzi, bo wykazują one coś bardzo zajmującego. Ta gospodyni w chacie pod słomą lub dranicami, czy to nie rodzona siostra pani z białego dworu—czy nie rodzona jej siostra z ducha, kość z tej samej kości? One obie to razem ta kobieta, którą łaje Bismarck, na którą się użala Tresków, o której rozprawiają w Parlamencie Niemieckim. Ledwo, że promyk światła rozjaśnił umysł tej, która w gorsecie chodzi i głowę chustką zawiązuje, a już jej świecą te same myśli, w sercu poruszają się te same uczucia, co córce herbowych rodów. Trzeba jej czegoś jeszcze niż sam byt powszedni, doświadcza pragnienia jakiejś działalności innej jeszcze, współdziałania w sprawach męża—idealny polot ku górze już w niej jest!..

Jakżeby się pragnęło tę współpracowniczkę *Gazety Świątecznej* poznać, zawołać na nią po imieniu i jak siostra siostrę ucałować. Walna baba! już ona *swemu*, upijać się nie da: z karczmy przebojem go wyciągnie, gadając mu o „ludzkiin szacunku“, ale go od szlachetnego czynu powstrzymać nie będzie, serce jej uderzy tem samem, co jego tętnem, a może nawet żywiej, goręcej „weźmie w pierś magnetycznie“ wszystko to, co jest wiarą i miłością świętą.

— „Kurier Warszawski“ z d. 7 Lipca zamieścił nadesłaną ze wsi korespondencyą, w której korespondent, Julian D., upomina się o zakładanie po wsiach ochron w czasie tak pilnie roboczym, że ani matki, ani nikogo z osób starszych przez cały dzień w chacie niema i małe dzieci zostają tam na wyłącznej opiece Opatrzności. Korespondent proponuje sprowadzanie na ochroniarki tych wiejskich, czasowych ochron, takich niezamożnych kobiet samotnych, pańien lub wdów, dla których utrzymanie w miastach większych jest ciężkiem, przy wielkiej konkurencji robotnic i ztąd braku roboty. Kobiety takie zajmowałyby się w lecie pilnowaniem dziatwy, następnie—jesienią i w zimie, na wiosnę, miałyby niewątpliwie dość zapewnionej sobie pracy, szyjąc odzież kobiet wiejskich, co obecnie jest powierzane krawcom z miasteczek. Szwalnia takich szwaczek-ochroniarek, mogłaby być drugostronnie szkołą szycia dla dziewcząt wiejskich, córek dworskich i gospodarzy, obecnie dość zamożnych i dość chętnych do możliwego kształcenia swych dzieci. Ciągła styczność takiej ochroniarki z kobietami wiejskimi, oddziaływałyby korzystnie pod wieloma względami, wpływałyby na wyższe uobyczenie wsi—pisze korespondent, a czytelniczcy przypominają sobie zapewne, jak pismo nasze upomina się od wielu już lat o ochrony wiejskie, prostszym jeszcze sposobem urządzone. Opierając się na przykładach znanych redakcyi, wykazywała ona, jak można letnie ochronki dzieci przy bardzo małych, nie prawie dla wsi nieznających kosztach urządzać; biorąc sobie tylko do pomocy trochę dobrej woli i myśli troskliwej o te dziatwę biedną, która przez całe zniwa jest jak zwierzątko małe, matce naturze niemal całkowicie oddaną. I pracownie wiejskie, zakładane przez kobiety, szukające pracy korzystniejszej i pewniejszej, niż w przeludnionych miastach, proponowaliśmy oddawna, łącząc to ze sklepami wiejskimi, co dałoby się zarazem pogodzić najdoskonalej z letnimi ochronami, bo sklep wiejski nie potrzebuje takiej ciągłej, jak w mieście obsługi. Okrutna statystyka dzieci wiejskich, które corocznie giną w ogniu, w wodzie się topią, od pewnego czasu pilnie prowadzona przez pisma

provincialne, czy nie cięży, jak kamień na sercu kobiety wiejskiej klas intelligentnych, to jest kobiety ze dworu? Jej to rzecz być tu inicjatywą i siłą rozpędową w kierunku potrzebnym, czego jednak nie można surowo żądać od matki rodziny, ale od panny młodej, która jest moralnie obowiązana stanąć tu do pracy—do pownej ofiary, do jakiegoś ze strony swojej poświęcenia. Mężczyzna ulega innemu poborowi na korzyść rzeczy publicznej, kobieta zatem powinna pełnić ofiarniczo służbę dobroczynności i miłosierdzia chrześcijańskiego, a to jest właśnie równouprawnieniem, aby brać po równi na ramiona takie ciężary, które są wypłatą z długo społecznego.—Dziś wioski nie są tak ubogie, jak niegdyś, ktoś powiedzieć może i prawdą to jest, ale wioski są jeszcze ciemne, potrzebują zatem jałmużny światła, choćby to nawet coś kosztowało i moralnie i materialnie.—Cóżby miłość była, gdyby ofiary spełniać nie uczyła?

— Przy ulicy Wspólnej, N. 10 otwartą została w roku bieżącym kobieca pracownia szewcka pod firmą „Leopoldyna“ a która jest obecnie jedynym tego rodzaju zakładem kobiecym w mieście naszym. Przed kilku, kilkunastu laty kobiety rzucały się z zapałem do rzemiosła szewckiego, obecnie przecież zmieniło się to zamiłowanie; wiemy jednak, że w Sandomierskiem na wsi istnieje szewcka pracownia kobieca; na zeszlóroczną Wystawę Rolniczo-Przemysłową Lublin nadesłał okazy bardzo dobrego obuwia, kobiecego wyrobu, lecz pracownia Leopoldyny przedstawia pewien rodzaj specjalności w tej gałęzi pracy—specjalności kobiecej, która jest może dopiero dobrem utrafieniem w punkt, na którym kobieta szewczka ze względu na swą siłę fizyczną powinna się wyłącznie trzymać. W pracowni Leopoldyny wyrabia się jedynie obuwie zwane technicznie „wywrotkami“ to jest obuwie o jednej, cienkiej podeszwie, która będąc w czasie roboty zupełnie miękką, daje się szyc wybornie na maszynie Singera. Podeszwie nadaje się potrzebną twardość dopiero po skończeniu i odwróceniu na drugą stronę bucika, czy trzewika, bo wszystkie rodzaje obuwia letniego kobiet i dzieci, lub obuwia do kaloszy—wszystkie prócz tak zwanych „pasowych“ to jest o grubej podwójnej podeszwie. są takimi wywrotkami, które kobieta zdrowa i dostatecznie silna bez pomocy mężkiej wykonać może. Zaopatrzenie w obuwie rodziny licznej jest nieraz dla ludzi niezamożnych wydatkiem bardzo obciążającym budżet domowy; pracownia Leopoldyny ogłasza też kurs nauki w zastosowaniu do potrzeb rodzinnych: „kurs dla matek“, z trwaniem trzymiesięcznym, co przecież daje się skrócić dla osób zręcznych i pracowicie poświęcających się nauce. Oplata za całkowitą naukę jest 25 rs. P. Leopoldyna uczyła już szewstwa w zakładzie hr. Platerówny, co stanowi pewną rękojmią tak, co do osoby, jak i nauki. Oszczędność na wyrobionem w domu obuwie jest w stosunku do cen sklepowych niemal pół na pół.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyą Marryat.

TREŚĆ. Po wielu latach poezya, przez T. L. — Rok szkolny, (dokończenie), przez M. Pnicką. — **Boży gniew**, powieść (dalszy ciąg), przez J. I. Kraśzewskiego — **Dobry król**, (Nie-powieść). — Karta z pamiętników poety, (dalszy ciąg), przez Szczęsną. — **Korespondencya zagraniczna**, Lwów, (dokończenie). — **Kronika działalności kobiecej.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencyą Marryat. — 25 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — **Se-kreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**